

PROLOG

Często zastanawiałem się, jak to się stało, że moi rodzice, siostra i ja przeżyliśmy wojnę. Na pewno mieliśmy olbrzymie szczęście i często wydarzały się nam zupełnie nieprawdopodobne przypadki. Jestem pewien, że wszyscy Żydzi, którzy tę wojnę przeżyli w Polsce, mogą to samo powiedzieć o sobie. Teraz jednak, po napisaniu moich wspomnień, myślę, że nasze uratowanie się zawdzięczamy też w dużej mierze aktywności mojego ojca, Leona (Eliezera)¹ Schönkera (1903–1965), który zawsze starał się znaleźć jakieś wyjście z pozornie beznadziejnych sytuacji.

Ojciec nigdy nie czekał biernie na rozwój wypadków; obdarzony jakimś wprost nieludzkim instynktem, gotów był zawsze do ucieczki, do ratującego skoku, nawet w ciemność, byleby tylko doprowadziło to do zmiany sytuacji, która przy zachowaniu bierności musiała doprowadzić do naszej zguby. Wtedy nie było to dla nas takie jasne, ale instynkt mojego ojca zawsze znajdował dla nas właściwą drogę ratunku.

Teraz, zastanawiając się nad historią mojej rodziny, zdaję sobie sprawę, że to aktywne szukanie wyjścia z każdej sytuacji było jednym z głównych rysów charakteru mojego ojca. Widoczne to było już długo przed wojną. Dzięki przytomności umysłu i gotowości do działania, ojciec mój nieraz zapobiegał różnym większym lub mniejszym rodzinnym niepowodzeniom, a czasami udawało mu się wyjść nawet z dużych opresji.

1 Żydzi w Polsce posiadali z reguły dwa imiona – hebrajskie i polski odpowiednik, np. Maurycy – Mojżesz, Leon – Eliezer.

Przed wszystkim jednak jego instynkt, oryginalność, trafna ocena sytuacji i szybka orientacja – pomagały jemu samemu. Wydaje mi się, że cechy te odziedziczył po swojej matce. Fanny (Feiga) Schönker, z domu Hollender, była podobno bardzo energiczną i rezolutną kobietą.

Mój dziadek Józef (Josef) Schönker (1872–1945) był właścicielem fabryki nawozów sztucznych „Agrochemia” w Oświęcimiu i należał do bardzo szanowanych obywateli tego miasta. Udzielał się też społecznie i wiele razy sprawował funkcję członka Rady Miejskiej, był doradcą Miejskiej Kasy Oszczędności, a także brał czynny udział w życiu gminy żydowskiej w Oświęcimiu. Był człowiekiem o wielkiej talmudycznej wiedzy, którą zdobył za młodych lat u swego ojca Izaaka Arona.

Jego żona Fanny miała z nim czworo dzieci: Sarah (Sala) była najstarszą córką, później przyszli na świat, kolejno: mój ojciec, Liba i Emanuel (Mendel).

Moja babka Fanny pochodziła z Rzeszowa i była siostrą mojej drugiej babki, Fryderyki (Friedl), to znaczy matki mojej matki. Nazywaliśmy ją Frydzia. Ojciec mój i moja matka Mina (Dwora Mindla) (1905–1976) byli kuzynami. Mój drugi dziadek Markus (Mordechaj) Münz, zwany Motele, mieszkał w Rzeszowie i należał do zamożnej rodziny, która miała tam duże posiadłości i cegielnię.

Podczas I wojny światowej moi obaj dziadkowie uciekli z rodzinami do Wiednia. Moja matka miała wtedy dziewięć lat, a ojciec jedenaście. Tam, w Wiedniu, zakochali się w sobie. Matka opowiadała mi, że ojciec mój kupował jej lalki. Miłość odrywała ich od ciężkiej wojennej rzeczywistości. Pomimo wojny, robili piękne wycieczki do Tyrolu i innych miejsc. W każdym razie oboje zawsze wspominali ten pobyt w Wiedniu jako jedno z ich najładniejszych przeżyć. Chodzili tam też do szkoły, stąd świetnie znali „wiedeński” niemiecki.

Ojciec mój miał rzadko spotykany talent rysunkowy i każdą wolną chwilę wykorzystywał, rysując pejzaże i portrety. W roku 1916 Józef Schönker postarał się, aby słynny profesor Akademii Sztuk Pięknych w Wiedniu, prof. Kohn, przyjął go z synem na konsultację. Prof. Kohn zrobił Leonowi egzamin, każąc mu narysować wazę. Po tym egzaminie przekonał mojego dziadka, że jego syn powinien uczęszczać do Akademii Sztuk Pięknych i przyjął go jako nadzwyczajnego studenta pod swoją opiekę.

Po wojnie zarówno rodzice matki, jak i ojca wrócili do Polski. Ojciec mój natomiast pojechał na studia malarskie do Akademii Sztuk Pięknych w Amsterdamie. Następnie kontynuował studia w Paryżu. W roku 1922 dostał telegram, że jego matka leży na łożu śmierci i pospiesznie wrócił do Oświęcimia, gdzie udało mu się w ostatniej chwili z nią pożegnać. Dom dziadka pograżył się w żałobie.

Rok później ojciec mój, mając dwadzieścia lat, postanowił prosić o rękę mojej matki. Nie była to wcale prosta sprawa, bo jej ojciec był bardzo pobożnym człowiekiem, chasydem u rabina, którego nazwiska nie pamiętam, ale nazywano go Bluziwe Rebe². Patrzył bardzo sceptycznie na mojego ojca, który niedawno wrócił z Paryża, uznawanego za miasto grzechu. Do tego jeszcze mój ojciec, zamiast pejsów, miał ogolone skronie i chodził w jakimś dziwnym welwetowym ubraniu w prążki, a pod szyją nosił dużą, czarną, jedwabną kokardę, co już w ogóle było nie do przyjęcia.

Moja matka w swojej miłosnej korespondencji stale prosiła ojca, aby jeszcze nie przyjeżdżał z oświadczeniami, bo narazi się na odmowę. Ojcu jednak znudziło się ciągle odwlekanie tak ważnej dla niego sprawy i postanowił działać. Od mojej mamy wiedział, że jej ojciec nie podejmował żadnej decyzji bez naradzenia się ze swoim rabinem. Zrozumiał więc, że klucz do pozytywnego załatwienia całej sprawy leży właśnie u Bluziwe Rebe.

Pewnego piątku powiedział swojemu ojcu, że jedzie odwiedzić ciotkę i wujka w Rzeszowie i przy tej okazji ma zamiar prosić wujka Motele o rękę jego córki. Mój dziadek Józef radził ojcu, aby jeszcze trochę odczekał, bo z czasem Motele może zapomni o tym, że ojciec wrócił z Paryża i uda mu się zrobić na nim lepsze wrażenie. Obawiał się, że jego syn, ze względu na swoje artystyczne studia, nie będzie mile widziany jako zięć u tak pobożnego chasyda.

Dziadek Józef był bardzo mądry, ale widocznie nie doceniał jeszcze wtedy zdolności tkwiących w moim ojcu. Ojciec tak obliczył czas podróży, że w drodze do Rzeszowa, niedługo przed rozpoczęciem się sobotniego

2 Chodzi o Cwi Elimelecha Szapiro (Spira), 1841–1924, cadyka z Błażowej, znanego także jako Bluzhower Rebbe.

święta, znalazł się w miejscowości, gdzie mieszkał Bluziwe Rebe i odwiedził go. Powiedział mu, że jedzie do swojego wujka Motele Münza, ale tak dużo słyszał o Bluziwe Rebe, że chciał go osobiście poznać. Słyszał też, że Rebe zbiera fajki, więc pozwala sobie zrobić mu prezent w postaci rzadkiego, jubileuszowego okazu fajki Bruyère.

Bluziwe Rebe był zachwycony prezentem. Zaprosił ojca, aby został u niego w gościnie przez sobotę, bo i tak jest już za późno, aby mógł przed zapadnięciem zmroku dojechać do Rzeszowa. Ojciec zgodził się i poszedł razem z rabinem modlić się w bożnicy, co też zresztą robił w każdy szabas w Oświęcimiu. Nazajutrz znowu były modły i rabin miał przemowę. Po obiedzie poszli na spacer i rozmawiali o różnych ziemskich sprawach. Pod wieczór byli znowu w bożnicy, gdzie odbyła się uroczystość zakończenia szabasu.

Nazajutrz ojciec pożegnał się z Bluziwe Rebe i jego żoną. Oboje byli nim oczarowani. Po przyjeździe do Rzeszowa, ojciec, nie namyślając się długo, poprosił Motele o rękę jego córki. Decyzja była trudna. Rodzina Josele Schönkera bardzo mu odpowiadała, ale jego syn Leiser był trochę dziwnym człowiekiem, bo który normalny Żyd jedzie do Paryża uczyć się malować obrazy? Kto wie, czego ten Leiser jeszcze się tam nauczył? Postanowił nie dawać pochopnej odpowiedzi i obiecał ojcu, że zawiadomi go o swej decyzji za kilka dni.

Dalszy ciąg tej historii znam z opowiadania matki. Dwa dni potem Motele zamówił się u Bluziwe Rebe w pilnej sprawie. Po przybyciu, opowiedział rabinowi, że stoi przed wielkim dylematem – kuzyn jego córki, Leiser Schönker z Oświęcimia, prosił go o jej rękę. To prawda, że młodzi się kochają i chętnie widziałby, gdyby jego córka Dwora Mindla weszła do rodziny Josele Schönkera. Jak można jednak powierzyć córkę komuś, kto niedawno wrócił z Paryża? Kto to widział, aby zajmować się tak błahymi sprawami, jak malowanie obrazów? Komu w ogóle potrzebne są te obrazy? I kto właściwie wie, jaki to człowiek ten Leiser Schönker? To, że przyjechał do niego w aksamitnym kapeluszu z szerokim rondem, nie może przecież świadczyć o jego charakterze, prawda?

Tu czekała mojego dziadka Motele duża niespodzianka. Bluziwe Rebe oświadczył mu, że doskonale zna Leisera Schönkera, uważa go za nadzwyczajnego człowieka i prowadził z nim długie rozmowy na różne tematy.

„Motele – powiedział – nie masz się czego bać. Twoja córka będzie miała przy nim dobre życie.” Mojemu dziadkowi spadł kamień z serca. Nie odważył się nawet zadawać rabinowi dalszych pytań, bo przecież zwykły człowiek nie widzi tego, co widzi rabin. Nazajutrz mój ojciec otrzymał pozytywną odpowiedź i niedługo potem odbył się ślub.

Dziadek Józef posiadał parcelę naprzeciwko swojej willi i tam wybudowana została willa mojego ojca. Dziadek mieszkał przy ulicy Jagiellońskiej 36, a młodzi małżonkowie pod numerem 41. Moja matka bardzo szybko zaaklimatyzowała się w Oświęcimiu, bo dziadek Józef był przecież nie tylko jej teściem, ale też wujkiem.

Dziadek przekonał ojca, że po założeniu rodziny musi zająć się czymś poważnym, a nie tylko malowaniem. Czasy były ciężkie i z malowania nie można było żyć. Mój ojciec chciał początkowo przenieść się do Krakowa, gdzie kwitło życie artystyczne, ale w końcu przychylił się do prośby swojego ojca i pozostał w Oświęcimiu.

Miasto przechodziło wtedy proces elektryfikacji i ojciec, z finansową pomocą dziadka, założył sklep z lampami. Był na nie duży popyt i wielu mieszkańców Oświęcimia należało do klientów mojego ojca. Sprowadzał on coraz więcej lamp. Dziadek hojną ręką dostarczał kapitał obrotowy, bo był zadowolony, że jego syn wreszcie prowadzi jakiś interes i rozpoczął normalne życie.

Stało się więc tak, że w czasie kiedy jego przyjaciele zaczęli robić kariery malarskie w Paryżu, mój ojciec sprzedawał lampy w Oświęcimiu.

Dziadek ciągle dokładał pieniądze do tego interesu, chociaż wydawało się, że sklep wspaniale się rozwija. Wreszcie posłał buchaltera z fabryki, aby zbadał, co się tam dzieje. Wyniki tego badania były katastrofalne. Okazało się, że ojciec sprzedawał lampy przeważnie na kredyt. Z początku nawet to zapisywał, ale sklep tak się rozwinął, że z czasem ojciec przestał cokolwiek notować i wierzył ludziom na słowo. Większość mieszkańców Oświęcimia to byli przecież jego znajomi. Nikt nie prowadził żadnych ksiąg, bałagan był niesamowity. Nikt nie wiedział, kto i ile jest winien.

Dziadek załamywał ręce, bo rozumiał, że nie tylko stracił pieniądze, ale że jego ukochany syn nie nadaje się do prowadzenia sklepu. Nie miał wyjścia, jak tylko zgodzić się, aby mój ojciec przeniósł się do Krakowa i tam kontynuował karierę malarską.

Opowiadano, że większość mieszkańców miasta zaopatrzyła się w lampy w sklepie ojca za darmo. Ojciec stał się miejscowym bohaterem. Do dzisiaj podejrzewam, że sam zaplanował tę całą aferę.

W Krakowie ojciec wkrótce stał się renomowanym malarzem, głównie portrecistą. Malował też pejzaże i martwą naturę. Otrzymał bardzo zaszczytne zamówienie malowania wnętrza zabytkowej bożnicy Wolfa Poppera w Krakowie i pracę tę wykonał ku ogólnemu zadowoleniu żydowskich mieszkańców. Brał udział w wielu wystawach indywidualnych i zbiorowych. Jeden z jego obrazów zakupiony został do Ermitażu w Leningradzie, a inny do muzeum przy Akademii Becalet w Jerozolimie. Pisał stale artykuły o sztuce do „Nowego Dziennika”. W latach trzydziestych był prezesem Związku Malarzy i Rzeźbiarzy Żydowskich w Krakowie.

W tym mieście urodziliśmy się: mój brat Musiu (Mosze) i ja, a później moja siostra Lusia (Fanny Salomea). W naszym mieszkaniu przy placu Szczepańskim 2 spotykała się cała plejada malarzy, aktorów i innych artystów. Wielu z nich stało się naszymi serdecznymi przyjaciółmi.

Ojcu w Krakowie dobrze się powodziło, a kiedy miał trudności finansowe, to dziadek Józef zawsze przychodził mu z pomocą. Dziadek był głową rodziny i szefem fabryki „Agrochemia”. Niestety, nie zawsze wszystko się tam dobrze układało. Z początku było to towarzystwo akcyjne i oprócz dziadka, który założył tę fabrykę ze swoim bratem Eberem w 1905 roku, kilka banków miało w niej swoje udziały. Później dziadek wykupił te udziały i stał się jedynym właścicielem.

Do produkcji superfosfatu, którą ta fabryka się zajmowała, potrzebny był kwas siarkowy. Duże fabryki superfosfatu w Polsce posiadały własne fabryki kwasu siarkowego, co było olbrzymią inwestycją. My takiej nie posiadaliśmy i „Agrochemia” zależna była od dostaw tego kwasu. Otrzymywała go przeważnie z hut. Ponieważ jednak zdolność produkcyjna fabryk superfosfatu w Polsce była dużo większa niż możliwości zbytu, utworzony został kartel, skupiający duże fabryki, i on decydował, kto ile ma produkować. Kartel ten starał się zdusić małe fabryki, które zabierały mu rynki zbytu. Najczęściej robił to poprzez wywieranie nacisku na huty i inne przedsiębiorstwa, aby zmniejszyły dostawy kwasu siarkowego do zakładów nienależących do kartelu. „Agrochemia” nieraz miała z tym trudności.

Pewnego razu, przechodząc ulicą w Krakowie, ojciec zauważył w sklepie z antykami, należącym do jego znajomego antykwariusza Stieglitza, piękny salonik z epoki Ludwika XVI. Okazało się, że salonik jest oryginalny i pochodzi od jakiejś arystokratycznej rodziny, która chciała go sprzedać. Ojciec mój był zapalonym miłośnikiem antyków i od razu na miejscu, po wytargowaniu ceny, wpłacił zadatek na ten salonik. Podpisano umowę i ojciec zobowiązał się dopłacić w ciągu tygodnia resztę sumy. Różni ludzie byli mu winni pieniądze i miał nadzieję, że nie będzie problemów ze zorganizowaniem brakującej kwoty.

Chodziło jednak o dużą sumę i wkrótce okazało się, że jej zdobycie jest niemożliwe. Nie mając innego wyjścia i obawiając się, że straci zadatek, ojciec pojechał do dziadka Józefa, aby pożyczył mu brakujące pieniądze. Tu przeżył jednak duże rozczarowanie. Okazało się, że fabryka „Agrochemia” znowu ma trudności, bo huta z Katowic nie chce dostarczać kwasu siarkowego. Dziadek powiedział ojcu, że fabryka może jeszcze produkować dwa tygodnie, a potem trzeba ją będzie zamknąć. Był w rozpacz. W tych warunkach nie mogło być mowy o żadnej pożyczce.

Nazajutrz ojciec postanowił iść do Stieglitza i spróbować unieważnić tę transakcję. Stieglitza nie było, czekał więc na niego. Salonik zniknął ze sklepu i ojciec był przekonany, że został schowany do magazynu. Po kilkunastu minutach pojawił się Stieglitz, który widząc czekającego ojca zbladł i jękając się zaczął go prosić, żeby się nie denerwował, ale stało się nieszczęście – musiał sprzedać jego salonik komuś innemu.

Okazało się, że dwa dni później zobaczył ten salonik wojewoda Michał Grażyński z Katowic i po prostu zmusił Stieglitza, aby mu go oddał. Nie pomogły żadne perswazje i tłumaczenia, że jest on już sprzedany. Wojewoda nie chciał ustąpić, powiedział, że załatwi z Schönkerem tę sprawę i bierze na siebie całą odpowiedzialność. Zaraz na miejscu zapłacił żadaną cenę i zabrał salonik.

Stieglitz powiedział ojcu, że naturalnie zwraca mu całe pieniądze i bardzo przeprasza go za ten nieprzyjemny incydent. Jest też gotów ofiarować ojcu coś ze sklepu jako odszkodowanie i prosi go o anulowanie tej transakcji. Ojciec udawał bardzo zdenerwowanego, stwierdził, że o anulowaniu w ogóle nie może być mowy i wyszedł ze sklepu. Stieglitz wybiegł za nim na ulicę, próbując go udobruchać, ale ojciec był nieubłagany.

Jeszcze tego samego dnia pojechał do Warszawy i zgłosił się w kancelarii znanego adwokata Zygmunta Hofmokla-Ostrowskiego, któremu przedstawił całą sprawę. Mecenas był zachwycony. Lubował się w sprawach, które wywoływały wielkie skandale.

– Panie Schönker – powiedział – jeśli odda mi pan tę sprawę, to przyjmę ją bez pieniędzy. Zrobimy skandal na całą Polskę.

Ojciec odpowiedział, że nie jest zainteresowany skandalem, tylko polubownym załatwieniem sprawy.

– W takim razie ja napiszę do niego list i może pan być pewien, że zrobi on na nim duże wrażenie – powiedział adwokat.

Po dwóch dniach ojciec otrzymał telefon od wojewody Grażyńskiego, który był wyraźnie wzburzony: „Panie Schönker, po co mi pan posyła na głowę Hofmokla-Ostrowskiego? Przecież możemy dojść bezpośrednio do porozumienia. Nie trzeba robić zaraz takiego wielkiego zamieszania”. Ojciec umówił się z Grażyńskim i tego samego dnia pojechał do Katowic. Tam doszło między nimi do ugody. Wojewoda, jeszcze w obecności ojca, załatwił telefonicznie, że huta w Katowicach dostarczy „Agrochemii” kwas siarkowy na ten sezon. A oprócz tego zobowiązał się, że da zrobić dokładną kopię saloniku i przekaże ją ojcu w prezencie.

Niestety, rok później, w 1937, trudności „Agrochemii” z dostawą kwasu siarkowego jeszcze się pogłębiły. Kartel postanowił zdusić naszą fabrykę. Dziadka powiadomiono, że dostawy kwasu zostają ostatecznie zakończone. Wszędzie, dokąd się zwracał, spotykał się z odmową. Ojciec zatelefonował do wojewody Grażyńskiego, ale ten odpowiedział mu, że nie jest strażnikiem „Agrochemii”. Wydawało się, że los fabryki jest przesądzony i że trzeba ją będzie zamknąć. To jednak byłoby równoznaczne z jej bankructwem, bo fabryka była winna dużo pieniędzy za surowiec. Oznaczałoby to upadek całej rodziny.

Dziadek był już zupełnie zrezygnowany, ale mój ojciec nie chciał się poddać. Przypomniał sobie, że w latach dwudziestych, gdy „Agrochemia” była towarzystwem akcyjnym, w Radzie Nadzorczej zasiadał też prof. Ignacy Mościcki, późniejszy prezydent Polski. Rada Nadzorcza „Agrochemii” zbierała się kilka razy w roku i Mościcki przyjeżdżał na posiedzenia ze Lwowa, gdzie był wtedy profesorem chemii na Politechnice. Za każdym razem zatrzymywał się u dziadka, który go gościł. Mojego ojca bardzo

lubił i po posiedzeniach prowadził z nim długie rozmowy. Później, gdy został już prezydentem Polski, kilka razy, przejeżdżając przez Oświęcim, odwiedzał dziadka i nawet wpisał mu się do księgi pamiątkowej gości.

Ojciec mój postanowił wykorzystać tę starą znajomość i pojechał do Warszawy. Na Zamku zgłosił się do Kancelarii Prezydenta i poprosił o audiencję. Dano mu formularz do wypełnienia i powiedziano, że dostanie odpowiedź, ale to może trwać kilka miesięcy. Ojciec odpowiedział, że chciałby się widzieć z panem prezydentem jeszcze dzisiaj. Zdziwiona sekretarka Kancelarii spytała ojca, czy jest umówiony. „Nie, nie jestem umówiony, ale pan prezydent będzie wiedział, o kogo chodzi” – odpowiedział, wręczając swoją wizytówkę.

Wkrótce oznajmiono mu, że prezydent go oczekuje. Ojciec został wprowadzony do dużego, bardzo eleganckiego gabinetu. Prezydent Mościcki z uśmiechem na twarzy wyszedł mu naprzeciwko i podał rękę. Zapytał, co porabia dziadek, czy jest zdrowy i czy wszystko u nas w porządku. Następnie usiadł za biurkiem, a ojciec naprzeciwko niego.

„Co pana do mnie sprowadza?” – zapytał. Ojciec powiedział mu, że „Agrochemia” stoi w obliczu katastrofy, że kartel, chcąc zdusić fabrykę, spowodował, iż dostawy kwasu siarkowego zostały przerwane. Konsekwencją tego postępowania kartelu będzie bankructwo „Agrochemii”. Kilkaset rodzin w Oświęcimiu utraci pracę i przyłączy się do masy bezrobotnych. „Ależ to przecież sabotaż! – wykrzyknął Mościcki. – Sławoj, słyszałeś?” Dopiero teraz ojciec zauważył, że ktoś w mundurze stoi odwrócony przy oknie. „Słyszałem” – odpowiedział oficer i odwrócił się. Ojciec natychmiast go poznał – był to generał Felicjan Sławoj Składkowski, premier Polski i minister spraw wewnętrznych.

– To jest skandal! – powiedział prezydent – Proszę cię, załatw tę sprawę.
– Sprawa będzie zaraz załatwiona – odpowiedział Sławoj Składkowski i uśmiechnął się do ojca.

Na tym ta audiencja się skończyła. Ojciec opuścił Zamek w doskonałym humorze i postanowił odwiedzić swego przyjaciela. Poszli razem na kolację i dopiero późnym wieczorem ojciec wrócił do hotelu. W recepcji czekał na niego zdenerwowany dyrektor hotelu. Widząc ojca krzyknął:

– Bój się pan Boga, panie Schönker, gdzie pan się podziewa?! Szukamy pana wszędzie już kilka godzin!

– Co się stało? – spytał ojciec.

– Cały czas otrzymuję tu dramatyczne telefony do pana. Każą mi pana za wszelką cenę znaleźć.

– O co chodzi?

– Nie wiem dokładnie, ale mówią mi, że Sławoj Składkowski chce posłać kilku dyrektorów jakiegoś kartelu do Berezy Kartuskiej. Wszyscy są szalenie zdenerwowani i chcą z panem rozmawiać. Tu jest numer telefonu – podał mu kartkę. – Proszę, aby pan natychmiast tam zatelefonował.

Ojciec zadzwonił pod wskazany numer i podał swoje nazwisko. Ktoś wzburzonym głosem zaczął mu coś tłumaczyć, ale ojciec nie mógł zrozumieć jego słów. Poprosił, aby mówił spokojnie. Okazało się, że rozmawia z dyrektorem kartelu nawozów sztucznych.

Oznajmił on ojcu, że kartel zgadza się przyjąć „Agrochemię” do swojego grona i od teraz nie będzie już żadnych trudności z dostawami kwasu siarkowego, fabryka otrzyma też zwiększony kontyngent zbytu. Błagalnym głosem poprosił ojca o zgodę i o natychmiastowe zawiadomienie pana premiera i ministra spraw wewnętrznych, że sprawa została załatwiona ku zadowoleniu rodziny Schönkerów. Ojciec odpowiedział, że musi najpierw porozmawiać z właścicielem „Agrochemii”. „Szybko! Szybko! Niech się pan spieszy, bo u mnie w willi na dole czeka policja.”

Ojciec zatelefonował do dziadka i musiał mu kilka razy opowiadać, co się stało i że przyjmują „Agrochemię” do kartelu, bo dziadek z początku myślał, że ojciec jest pijany.

Ojciec zadzwonił znów do dyrektora kartelu i powiedział mu, że Józef Schönker zasadniczo się zgadza, ale kontyngent zbytu jest za mały i musi być powiększony. Dyrektor kartelu natychmiast się zgodził oraz zaprosił ojca i dziadka na uroczyste przyjęcie „Agrochemii” do kartelu nawozów sztucznych w Polsce.

Dziadek zaproponował ojcu, aby wrócił do Oświęcimia i pomógł mu w prowadzeniu fabryki. Dał mu 25 procent i stanowisko wicedyrektora. Ojciec, po naradzie z moją matką, zgodził się i przeprowadziliśmy się z powrotem do Oświęcimia.

„Agrochemia” mogła też uratować całą naszą rodzinę od Zagłady, ale los chciał, by stało się inaczej. W roku 1938, jadąc pociągiem z Katowic

na zebranie kartelowe do Warszawy, ojciec mój dzielił wagon sypialny z jakimś młodym Amerykaninem, który przedstawił się jako Harriman. Okazało się, że on też jedzie na to samo zebranie. Jego ojciec, Averell Harriman, magnat kolejowy, posyłał go nieraz do Polski, aby zaznajomił się z przemysłem ciężkim Górnego Śląska. Miał tam duże udziały w kopalniach węgla i hutach, jak również w fabrykach nawozów sztucznych, w ramach olbrzymiego koncernu SACO (Silesia–American Corporation), polska nazwa: Śląsko-Amerykańska Korporacja.

Harriman przedstawił mojemu ojcu swój bardzo pesymistyczny obraz sytuacji Żydów w Polsce i w ogóle w całej Europie. Uważał, że powinniśmy opuścić Polskę. Zaproponował, abyśmy sprzedali „Agrochemię” jego ojcu; był on gotów zapłacić za nią 100 tysięcy dolarów w złocie. Płatność nastąpiłaby w Nowym Jorku albo w Londynie – tam, dokąd nasza rodzina zdecydowałaby się wyjechać. Była to na ówczesne czasy duża suma. Ojciec przyrzekł, że przekaze tę propozycję swojemu ojcu.

Po powrocie do Oświęcimia opowiedział to dziadkowi, który spotkał się nawet z Harrimanem w Katowicach. Oferta była poważna i należało podjąć decyzję. Wtedy to odbyła się u dziadka wielka narada całej rodziny. W końcu jednak nie zdecydowano się przyjąć tej oferty, bo druga żona dziadka, Regina Grossfeld z domu Schwartz, miała syna z rodziną w Krakowie i nie chciała się z nimi rozłączać.

Pod koniec lat trzydziestych „Agrochemia” wspaniale prosperowała. Ojciec i matka byli bardzo zadowoleni ze swojego życia w Oświęcimiu. Mieszkali w ładnej willi z pięknym ogrodem, brali udział w życiu społecznym, mieli wielu przyjaciół i byli bardzo szanowanymi obywatelami miasta. Ojciec usprawnił wiele rzeczy w fabryce i wszystko, czego się dotknął, udawało się. Dziadek Józef był bardzo zadowolony z mojego ojca i naradzał się z nim we wszystkich ważnych sprawach.

Jednak, pomimo wielkiej aktywności, oryginalności i pomysłowości mojego ojca, ostoją naszego domu była moja matka. Stabilizowała ona nasze życie. Całkowicie poświęciła się rodzinie. Była zawsze optymistycznie nastawiona i nawet w najcięższych sytuacjach nie upadała na duchu. Stała zawsze przy boku ojca, była jego największą podporą. Ojciec doceniał to i oboje bardzo się kochali. Bluziwe Rebe miał rację – to było naprawdę wspaniałe małżeństwo.

Przez całą wojnę szli razem i wspierali się nawzajem ze wszystkich sił. Udało im się uratować siebie i nas. To prawda, że ojciec zawsze podejmował inicjatywę. Ale też zawsze, w chwilach największego niebezpieczeństwa i udręki, często na samym progu śmierci, zdarzał nam się jakiś niesamowity przypadek, który nas ratował.

Ja to nasze ocalenie odczuwałem zawsze i do dzisiaj odczuwam – jako dotknięcie anioła.

Właściwie miałem umrzeć, zanim się narodziłem. Życie zawdzięczam temu, że moja matka nie zorientowała się, iż jest w ciąży. Wiedząc o swoim odmiennym stanie, niewątpliwie przerwałaby moje życie. Sama mi to kiedyś powiedziała. A przecież była najlepszą i najukochańszą matką, jaką sobie w ogóle można wyobrazić. Był to też najwspanialszy człowiek, jakiego poznałem w moim życiu. Często zadawałem sobie pytanie, jak ona, taka mądra i inteligentna osoba, mogła nie zdawać sobie sprawy, że jest w ciąży. Przez wiele lat nie znajdowałem na to odpowiedzi. Dzisiaj myślę, że jakaś wyższa siła miała mnie już wtedy w opiece.

Nigdy też nie dziwiłem się mojej mamie. Bała się, że jej następne dzieci będą takie jak Musiu – jej pierwszy syn, starszy ode mnie o pięć lat. Jako niemowlę zachorował na paraliż dziecięcy i prawie całkowicie stracił władzę w obu nogach. Moi rodzice robili olbrzymie wysiłki, aby choć częściowo polepszyć jego stan. Całe lata wielu profesorów, lekarzy i fizykoterapeutów pracowało nad tym. Wielkim sukcesem było już, gdy Musiu potrafił sam bardzo wolno się poruszać, mając obie nogi usztywnione szynami i podpierając się dwiema laskami.

Pomimo swego ciężkiego kalectwa, Musiu był szczęśliwym dzieckiem. Jego serdeczny śmiech do dzisiaj dźwięczy mi w uszach. Brał życie takim, jakie je dostawał. Kierowany jakimś nadzwyczajnym instynktem, maksymalnie wykorzystywał każdy dzień. Potrafił cieszyć się wszystkim, każdą małą rzeczą, która dla innych dzieci była bez znaczenia. Jego radość udzielała się innym; przyjemnie było przebywać w jego otoczeniu. Ja i moi rodzice bardzo go kochaliśmy.

Inni ludzie, w dużo mniejszym stopniu niż on obarczeni kalectwem i cierpieniem, zamykali się w swoim własnym świecie, odgradzali się

od otoczenia. Musiu był inny. Wszyscy go interesowali, nikogo się nie wstydził. Nie dzielił ludzi według kategorii, każdego darzył szacunkiem. Był bardzo inteligentny i zdolny, w wieku pięciu lat już czytał książki. W szkole był dobry z matematyki i często przychodziły do nas dzieci, którym tłumaczył, jak robić zadania. Moja mama była początkowo niezadowolona, bo zabierało to Musiowi dużo czasu. Widząc jednak, jak cieszy się z tych wizyt, godziła się na nie. Musiu czuł się najszczęśliwszy, gdy mógł komuś pomóc i przez to okazać mu swoją miłość.

Wszyscy koledzy z klasy bardzo go lubili. Natomiast dzieci z innych klas często mu dokuczały. Ale on nigdy się nie obrażał i starał się nie zwracać uwagi na ich wyzwiska. Tłumaczył mi, że ludzie nigdy nie są tacy źli, na jakich wyglądają, że ich dalsze zachowanie wobec nas zależy od tego, jak przyjmujemy ich złe słowa. Nie bardzo go wtedy rozumiałem, ale czułem, że jest w tym coś ważnego.

Gdy miałem sześć lat, Musiu zachorował na zapalenie mózgu, stracił przytomność i po kilku dniach zmarł. Pamiętam, że ojciec malował go, gdy leżał na łożu śmierci. Jego odejście pograżyło nasz dom w głębokim bólu i żalobie. Był to ból, od którego już nigdy się nie uwolniliśmy. Było to też moje pierwsze zetknięcie się z majestatem śmierci bliskiego i kochanego przeze mnie człowieka.

Nie rozumiałem, jak Musiu, który stanowił ważną część mojego dzieciennego świata, mógł tak nagle nas opuścić. Przez długi czas skrycie płakałem nocami. Wszystkie moje późniejsze lata to życie z pamięcią o Musiu. Zadawałem sobie pytania, dlaczego tak dobry i niewinny człowiek, tak przez nas kochany, który nigdy nikomu nie zrobił nic złego, przeciwnie – robił tyle dobrego, dlaczego właśnie on musiał umrzeć. Dlaczego musiał tak cierpieć? Dlaczego właśnie on musiał stać się kaleką?

Później nawiedziły mnie inne pytania. Jak to się stało, że Musiu, pomimo swego ciężkiego kalectwa, był taki szczęśliwy w swoim krótkim życiu? Z jakiego źródła czerpał tyle radości – pomimo tak wielu wyrzeczeń, a nawet upokorzeń – że każdy, kto znalazł się blisko niego, też czuł się nią obdarzony? Nie znajdując odpowiedzi na te wszystkie pytania, zacząłem wątpić, czy życie w ogóle ma jakiś sens.

Rok po śmierci Musia urodziła się moja siostra. Nikt nie przygotował mnie na jej przyjsie i w mojej obecności nikt o tym nie mówił. W noc

jej urodzin ukazał mi się we śnie Musiu i powiedział, że mam siostrę. Rano ojciec obudził mnie, aby oznajmić mi tę radosną nowinę. Nim jednak zdążył się odezwać, spytałem go, gdzie jest moja siostrzyczka, którą Musiu przysłał mi z nieba. Ojciec był tak zdumiony, że nie mógł wypowiedzieć słowa.

W tym samym roku przeprowadziliśmy się z Krakowa do Oświęcimia, gdzie żyła rodzina mego ojca. Ta przeprowadzka oderwała mnie od myśli o Musiu i rozproszyła trochę mój smutek. Nagle miałem blisko siebie wujków i ciotkę, kuzynów i kuzynki. Wszyscy byli dla mnie bardzo serdeczni, przechodziłem z kolan na kolana, ciągle mnie głaskano, jakbym był małym dzieckiem. Wszystko to wprawiało mnie w zażenowanie, ale starałem się być dla każdego miły, bo wydawało mi się, że tak postępowałyby Musiu.

Bardzo kochałem wujka Emanuela, nazywanego przez nas Mendkiem. On jeden odnosił się do mnie jak do dorosłego człowieka. Zaraz po naszym przyjeździe do Oświęcimia kupił mi małego psa i często dawał mi pieniądze na kino. Był to niezwykle przyjemny człowiek, zawsze uśmiechnięty i pełen humoru. Promieniowała od niego jakaś lekkość życia i niczym niezachwiany optymizm. Miał synka, czteroletniego Izaczka, a tuż przed wojną urodziła im się dziewczynka. Jego żona Różia często zapraszała mnie na pyszne ciastka. Zacząłem też chodzić do szkoły i wydawało się, że życie znów się do mnie uśmiecha.

Na krótko przed napaścią Niemców na Polskę, cała nasza rodzina uciekła do Kazimierza nad Wisłą, bo uważano, że Niemcy tak szybko tam nie dojdą. Wszyscy byli pod wrażeniem polskiej propagandy i uważali, że Polska potrafi się obronić. W najgorszym wypadku spodziewano się wojny pozycyjnej, czegoś w rodzaju I wojny światowej.

Przed ucieczką do Kazimierza przyniosłem do szkoły 5 złotych, bo odbywała się zbiórka na Fundusz Obrony Przeciwlotniczej. Byłem pewien, że mój datek, który wyprosiłem od ojca, też pomoże powstrzymać Niemców, bo 5 złotych to był dla mnie duży majątek. Można było za te pieniądze iść dziesięć razy do kina; wprawdzie tylko na miejsca w pierwszym rzędzie, ale kto w moim wieku siedział w kinie w innym rzędzie?

Wszędzie widziałem hasło: „Nie oddamy ani jednej piędzi ziemi”. Najbardziej jednak podobał mi się afisz: „Nie oddamy ani guzika”. Byłem

pewien, że nie ma się czego bać i że żaden wróg nie zagarnie Polski. Te afisze nie mogą przecież kłamać.

Mój ojciec pozostał w Oświęcimiu i próbował wysłać z fabryki towar, wyprodukowany na sezon jesienny. Szybko jednak okazało się, że jest to przedsięwzięcie niemożliwe do wykonania. Wszystkie pociągi zajęte były przez wojsko, wszędzie panował chaos, zamieszanie i powszechna destrukcja. Nie wróżyło to nic dobrego, ale byłem za mały, aby to zrozumieć.